

Przez kuchnię do „Kuriera”

Zmurszała kamienica czynszowa. Z ulicy, przez bramę wchodzi się w długi, brudny korytarz, o odrapanych ścianach. Drewniane schody z ozdobną, podniszczoną już, toczoną poręczą. Zwężenie korytarza zakrywa drugie schody, podobnie zszargane, wydeptane, z poręczą bez ozdób. Kuchenne schody. Tymi drugimi do góry. Pod drzwiami na pierwszym piętrze - wanny i szafliki z mokrą, wypraną bielizną. Drzwi na drugim prowadzą do pomieszczeń, w których dawniej, jak pamięta wielu niestarych jeszcze mężczyzn, rezydowały przez całą dobę wesole, uczynne i mile witające gości panienki. Teraz otwierając drzwi wchodzi się do kuchni. W garnku na płycie kuchennej coś bulgoce. Obok, przy biurku założonym stosem papierów, siedzi efektowna brunetka, pani Lidia Pomykalska, sekretarka. Z sąsiedniego pokoju przez otwarte szeroko drzwi, niesie się stukot maszyny do pisania; pani Lucyna Miłosz trzaska w klawisze z szybkością kulomiotu. Tam i z powrotem snuje się niczym cień „tajemniczy James” lubelskiej żurnalistyki, Jerzy Turzański, przystojny, na oko lat około 35, według metryki chrztu zapewne z dziesięć więcej, bo tyle już chyba nosi nie powiększający się pierwszy szron na skroni. Mężczyzna, o którym można mówić dużo, ale pewników jest niewiele, on zaś w ogóle należy do mało gadatliwych, o sobie nie piśnie nigdy słowa.

Plotkują, że pochodzi z rodu baronów kurlandzkich, wychował się wszakże w Lublinie, zna tu każdą dziurę w bruku, kocha miasto i nie opuszczał go nigdy na dłużej, z wyjątkiem krótkiego okresu po wojnie, kiedy to przebywał na Dolnym Śląsku, jeszcze nie zasiedlonym całkowicie, jeszcze wypełnionym niedobitkami armii niemieckiej i bandami wilkołaków, pracował jako kierowca ciężarówki. Po powrocie rozpoczął pracę w „Życiu Lubelskim”, gdzie pod okiem rutynowanych fachowców z „Życia Warszawy” przeszedł twardą szkołę. Ale nawet wtedy najbliżsi koledzy, poza sprawami profesjonalnymi, nic sprawdzonego powiedzieć o nim nie mogli. Szeptano wprawdzie, że ma powodzenie u płci pięknej, i że nie jest mu to obojętne, lecz z kobietami Turzański nigdy i nigdzie się nie pokazywał, można by powiedzieć murowany kandydat na starego kawalera. Wtem nieoczekiwanie, bez zapowiedzi, bęc, wyszło na jaw, że się ożenił.

Z czasów szoferskich pozostało mu zamiłowanie do spraw motoryzacyjnych. I choć sam nie posiada samochodu redaguje coniedzielną rubrykę poświęconą motoryzacji, walczy piórem o unowocześnianie systemu komunikacyjnego, likwidację wąskich gardeł na drogach, ułatwianie

pracy kierowcom itp. Głównym jednak zajęciem Turzańskiego jest od lat ponad dwudziestu adiustacja i kwalifikowanie do druku artykułów innych dziennikarzy. Biada najbardziej nawet doświadczonemu publicyście, jeśli postawi nie tam, gdzie należy, przecinek, czy zbuduje niezbyt klarowne zdanie; czeka go niemal egzamin z zasad pisowni i interpunkcji. Biada też, jeśli pisze o jakimś fragmencie miasta, którego dokładnie osobiście nie obejrzał. „No to proszę mi powiedzieć, pod którym numerem jest na Kunickiego pawilon „Dziesiąta”?” - strzela zimno, ironicznie Turzański. Albo: „A które bramy na Lubartowskiej są przechodne?”. Zapytywany błędnie, bo wie, że pytający był tam, widział, pamięta, bez różnicy, czy chodzi o najstarszą, czy o najnowszą część Lublina.

Na szczęście wiadomo powszechnie, co robić, aby Turzański stracił swój arystokratyczny chłód. Wystarczy mieć przy sobie zegarek, aparat fotograficzny, radio, suszarkę czy inny przyrząd i wystarczy, aby działał on źle, a jeszcze lepiej - nie działał w ogóle. Wtedy mówi się „Panie Jurku, jak pan myśli, czy to da się zreperować?” Pan Jurek, wyjmując z biurka podręczne narzędzia, lupe, zaczyna badanie, zapala się i - jeśli do naprawy nie jest potrzebny lepiej wyposażony warsztat - oddaje przyrząd w pełni sprawny.

Być może, że wywód o panu Jurku jest nieco przydługawy, ale zapewne Państwo przyznacie, że w czasach, gdy otacza nas coraz więcej mechanizmów, a usługi są niedostateczne i na ogół na marnym poziomie, taki zastępca redaktora naczelnego to - niezależnie od walorów zawodowych - skarb nieoceniony. Wkrótce czekają go nowe zadania. Stała siedziba „Kurier Lubelskiego” przy ul. 3 Maja 14 jest w remoncie. Po zakończeniu prac, drobnych napraw będzie niewątpliwie moc. Na razie Redakcja mieści się w dość podrzędnym lokalu (choć z barwną historią) przy ul. Lubartowskiej 28. Niektórzy dziennikarze narzekają, że to nie w centrum, że mało reprezentacyjne, że na kawę lub piwko zamiast do „Lublinianki” chadzają do zaplutej „Sportowej” lub „Zamkowej”. Nie brak wszakże głosów, iż taka krótka zmiana adresu pozwoli redaktorom dokładniej przypatrzeć się życiu typowo robotniczej dzielnicy, co na jubileusz będzie zjawiskiem nad wyraz pożądanym.

To już bowiem 15 lat od ukazania się pierwszego numeru. W sobotę, 24 marca 1957, po szumnej reklamie (afisze, zapowiedzi w prasie i radio, ulotki zrzucane z samolotów i helikopterów), lublinianie otrzymali pierwszy numer nowej, miejscowej gazety popołudniowej, wydanej przez Lubelską Spółdzielnię Wydawniczą, też zresztą niedawno powstałą.

Zespół redakcyjny skompletowano z dziennikarzy „Życia Lubelskiego”*, „Sztandaru Ludu”, kilku dziennikarzy zamiejscowych oraz z osób, które uprzednio nie pracowały w tej profesji.

* mutacja „Życia Warszawy”, rozwiązana nieco wcześniej w przewidywaniu, że dla trzech tytułów nie wystarczy czytelników, może i szkoda, że ją rozwiązano, przydałaby się dziś na pewno w Lublinie, ale wtedy nie było innych możliwości, choćby z uwagi na brak kadr dziennikarskich.

Redaktorem naczelnym został 30-letni wówczas Lesław Gnot, „przywieziony w teczce” z Koszalina, gdzie był przedtem sekretarzem redakcji. Gnot bronił się jak mógł przed przenosinami do Lublina, miał niewielką praktykę zawodową i zupełnie nie wiedział, jak zakładać nową gazetę. A tu wydawca powiedział, że pożycza na ten cel 70 tys. złotych i życzył szczęścia.

Był to okres dużych zmian w prasie polskiej. Po latach sztywności, nudy, sztampy, ograniczeń wybuchła z niebywałą siłą żywa, śmiała, ciekawa publicystyka. I na reszcie wkroczyła na łamy sensacja. Katastrofy, morderstwa, niezwykle wydarzenia podawano w ilościach niebywałych, często ponad umiar i bez zachowania proporcji do innych tematów, lecz była to zrozumiała reakcja na uprzednie ograniczenia prasy w tym względzie. „Kurier” poddał się tej fali w pełni. Nie bez wpływu był tu młody wiek wszystkich prawie dziennikarzy, dający im rzutkość, ruchliwość, pomysłowość, a za mało doświadczenia i wiedzy o życiu do podejmowania głębszych problemów. Pierwszy numer gazety wyszedł w 26 tysiącach egzemplarzy. Drugi, w poniedziałek 26 marca, już w 40 tysiącach, i znikł z kiosków w czasie kwadransa. Szturmujący tłum czytelników zwałił z podmurówki kiosk „Ruchu” obok „Europy”. Przyczyna tej hossy tkwiła w wiadomości o zabójstwie pary małżeńskiej, dość znanych w mieście działaczy gospodarczych. Była to jedna z największych spraw kryminalnych w Lublinie w okresie powojennym. Ofiary, strasznie zmasakrowane, znaleziono w ich mieszkaniu, oddalonym o około 150 metrów do siedziby „Kuriera”. Zbrodnia na zamówienie, dla możliwości wejścia na rynek prasowy, redaktora naczelnego powinni zamknąć - powiadało się wtedy złośliwie wśród lubelskich dziennikarzy.

Tymczasem Gnot jest zwolennikiem podawania sensacji w ograniczonym zakresie. Przesłano go niegdyś do Lublina prawie przymusowo, zgodził się pobyc parę miesięcy, a pozostał na stałe do dziś. Preferuje publicystykę i inne większe formy dziennikarskie, spierając się stale z Turzańskim, który przekłada nad wszystko poważne informacje w lapidarnej formie. Gnot, podobnie jak jego zastępca, jest miłośnikiem motoryzacji, z tym, że ma własny samochód, choć dziennikarze uważają, iż rasowym kierowcą nie jest.

Odmienne zdanie reprezentuje sekretarz redakcji Stefan Piotrowski, zwany popularnie „Piotrusiem”, łysiejący pan po czterdziestce, wysoki, do trzydziestki prawie chudy jak tyka, potem, od chwili ożenku, powoli, lecz systematycznie, zaokrąglający się. Piotruś jest bodaj jednym dziennikarzem lubelskim, który posiada też solidną wiedzę poligraficzną, gdyż pracował przez pewien czas w drukarni. Absolutnie umie on przeliczać punkty na cycera i kwadraty, zna nazwy, kroje i wymiary wszystkich czcionek, wie jak zamakietować stronę, żeby wyglądała uroczyście, a jak, żeby sensacyjnie. W tej materii jest dla innych wielkim magiem. Piotruś uwielbia duże tytuły, duże zdjęcia, rysunki, linie, przerywniki, dopomina się o stosowanie ich jak najwięcej, bo tym wabi się czytelnika. A wiadomo, że nie tylko treść narzuca formę, lecz i odwrotnie. Domaga się więc

niezwykłości, sprawozdań sądowych, i kronik kryminalnych, informacji o wypadkach, urodzinach pięcioraczków. (...)

(...) Drugi z sekretarzy redakcji, Witold Welcz, dobija się o jak największą ilość miejsca dla wiadomości z kraju i ze świata. Welcz był w latach młodości dobrym lekkoatletą, potem redaktorem sportowym, teraz sportem nie zajmuje się, zresztą do prasy nie pisuje prawie nic, w „Kurierze” redaguje stronę depeszową, swe pasje pisarskie wyładowuje natomiast w publikowaniu powieści przygodowych dla młodzieży, wydawanych pod pseudonimem Wiktor Zawada.

Jako wypadkowa różnych upodobań i dążeń powstaje właśnie „Kurier Lubelski”, pismo, które wypracowało sobie odrębną od innych gazet południowych formę, przyjętą niewątpliwie przez czytelników skoro nakład ma nieustanne tendencje wzrostu, rozwój jego uzależniony jest jednak od możliwości zakupu papieru. Nakład doszedł swego czasu do 70 tys. egzemplarzy, potem z braku papieru spadł do 40 tys., znów podskoczył do 80 tys., w okresie jakichś szczególnie ważnych wydarzeń osiągnął, aż 102 tys. egz., teraz wynosi około 76 tys. Lesław Gnot swoje credo wyklada mi krótko: w mieście tej wielkości, co Lublin, powinny być trzy gazety codzienne. Dwie poranne i jedna popołudniówka. Wobec tego „Kurier” stara się spełniać podwójną rolę: taką jaką powinna druga - obok organu KW PZPR - gazeta poranna oraz popołudniówka.

Relacja jubileuszowa musi być w miarę poważna, w miarę dowcipna, a przy tym zawierać trochę komplementów. Takiego błogosławieństwa udzieliło mi na drogę kierownictwo „Kamery”. Wobec tego mogę stwierdzić, że „Kurier Lubelski” jest najlepszą popołudniówką na świecie, gdyż przeglądam ją o wiele częściej niż takie, jak „Express Wieczorny”, „Kurier Polski”, „France Soir”, „Wieczernaja Moskwa” i „Vecerni Praha”. Na całym świecie obserwuje się zresztą wzrost rangi intelektualnej prasy południowej, dawniej lekceważonej, nazywanej niemal w całości brukową (choć i dziś są pisma zasługujące w pełni na tę inwektywę), co zapewne wiąże się ze wzrostem poziomu, a więc i wymagań czytelników. „Kurier” powinien chyba być dumny z siebie w połowie ze stron pierwszej i czwartej, już ukształtowanych, mających styl, polot, dających na ogół czytelnikowi to, czego się spodziewa i w tym miejscu, w którym się spodziewa. Natomiast strony druga i trzecia są znacznie mniej ciekawe, robione jakby chaotycznie, przypadkowo i być może z tego powodu, jeśli trafiają się na nich wartościowe publikacje, rzadko budzą większe echo.

Badania, prowadzone na zlecenie Redakcji, choć wycinkowe, wykazały wyraźnie, iż dwie podstawowe grupy czytelników „Kuriera” to robotnicy z największych zakładów przemysłowych oraz młoda inteligencja. Gazeta szybko zdobyła sobie studentów. Lat temu już dawno, wskutek czyjegoś niedbalstwa w dzielnicy akademickiej nie było przez kilka dni pod rząd wody. Studenci zorganizowali wtedy demonstrację protestacyjną i ulicami miasta przeszli pod gmach Redakcji,

gdzie domagali się, aby „Kurier” wystąpił w obronie ich warunków bytowych. Od dawna, raz w miesiącu, ukazuje się w piśmie specjalna strona pt. „Konfrontacje”, poświęconą sprawom studenckim. Opracowuje ją zespół studencki, udział Redakcji „Kuriera” ogranicza się przy tym jedynie do fachowych porad doświadczonej dziennikarki, red. Haliny Chabros. Z grona „Konfrontacji” wyrosło kilku publicystów pracujących dziś w innych redakcjach. Niestety, na ogół dodatek studencki rzadko przynosi materiały poruszające najistotniejsze sprawy, wywołujące głębszą dyskusję.

Zespół „Kuriera” składa się z 19 osób, z czego ponad połowa pracuje w nim od pierwszego numeru pisma, inni przyszli w kilka lat później. W „Kurierze” zmiany personalne są czymś wyjątkowym. Ta stabilność ma niewątpliwie pozytywne znaczenie. A poza tym jest to zespół młody, starzejący się może fizycznie (wyjąwszy panie, oczywiście), lecz nie psychicznie i twórczo. Niczym młodzi chłopcy, redaktorzy mają swe wariactwa i pasje. Kierownik Działu Miejskiego, podpisujący się bardzo dziwnie, bo skrótem pierwszego imienia, a pełnym drugim, Al. Leszek Gzella, zamiłowany alpinista (a może to od tego, owe Al.?), ongi wzbudzał wesołość kolegów, kiedy to z innymi lubelskimi wspinaczami strącał sople lodu z dachów kamienic w śródmieściu, co miało podobno być poważnym treningiem. I okazało się, że było. Gzella uczestniczył potem w wielu prawdziwych wyprawach wysokogórskich, m. in. na szczyty w Mongolii. Al. Leszek, 40-latek jest ciągle jeszcze harcerzem, a przy tym orędownikiem kurierowego dodatku „Na tropie”.

Ryszard Sadurski, reporter spraw miejskich i redaktor techniczny, poluje razem z Piotrusiem.

Mieczysław Nowak, redaktor techniczny i sportowy, grywa namiętnie nie tylko w brydża, ale i ping-ponga, i to na poziomie dziennikarskich mistrzostw Polski.

Janusz Jurkowski, który rozpoczynał karierę jako fotoreporter, a potem przerzucił się na pisanie kronik kryminalnych i sprawozdań z sal sądowych, jest strzelcem wyborowym, startował w I lidze, zdobył mistrzostwo Polski dziennikarzy. (...)

(...) Zbigniew Hirsz, zajmujący się problemami budownictwa, jako swoje hobby traktuje historię. Zdobył doktorat na Uniwersytecie Jagiellońskim za pracę o prasie okupacyjnej; obecnie przygotowuje się do rozprawy habilitacyjnej.

Przebił go jednak Leszek Mazurek, reporter do spraw dziwnych, pasjonuje się motoryzacją (jeszcze jeden!), ale w sposób kwalifikowany: jest świetnym wykładowcą na kursach prowadzenia samochodu. Dziennikarze lubelscy, którzy w większości pod okiem Mazurka zdobyli prawo jazdy, nazywają go „panem profesorem”. Z tego profesora śmieje się kierowca kurierowego samochodu, Bolesław Biernat (gdy trzeba, zrobi zdjęcie do gazety), bo na szosie to on jest mistrzem dla Mazurka. Jak jest poza szosą nie wiadomo. Biernat z brukowanej drogi nie zjedzie za nic, a jeśli

chcą go zmusić, okazuje się, że właśnie wóz mu się zepsuł. I wtedy nawet najlepsi redakcyjni znawcy nie są w stanie znaleźć uszkodzenia. Biernat startował nawet w pewnych zawodach samochodowych, czego jednak w sprawozdaniach nie zauważyłem, gdyż dla Tadeusza Gańskiego, redaktora sportowego, liczą się w tym względzie tylko rajdy terenowe i żużel. Natomiast dla red. Włodzimierza Wójcikowskiego, publicysty, wartość mają tylko samotne rajdy piesze.

Dzieląc czas pomiędzy dom rodzinny, redakcję, działalność społeczną i namiętności pozazawodowe, dziennikarze zmuszeni są do nieustannego ruchu, do kręcenia się wśród różnych ludzi, do bywania na poważnych konferencjach i w miejscach zupełnie pospolitych. Rezultatem tego jest bogata tematyka spraw przedstawianych na łamach pisma. A także utrzymanie rozmaitych rubryk: mody, filatelistyki, wędkarstwa, hodowli rybek akwaryjnych, rubryk zjednujących nie mniej czytelników niż sprawy pierwszej rangi. Rezultatem pośpiechu tempa pracy bywają niekiedy drobne nieścisłości i inne wpadki, ale czyż wypada wypominać je w dniach jubileuszu?

Zupełnie rozmyślnie w ostatnim akapicie dopiero wymieniam nazwiska trzech redaktorek: Anny Treger-Jeziernickiej, specjalizującej się w problemach służby zdrowia, Bronisławy Jurkowskiej, autorki publikacji na tematy szkolnictwa i oświaty, i Zofii Rybak, wszystkowiedzącej o handlu i zaopatrzeniu. Jako osoby wobec mnie życzliwe, powinny znaleźć się na początku. Jednakże znają mnie na tyle dobrze, a ja je, że nie miałbym wtedy najmniejszych szans, iż przeczytają wywód niniejszy do końca.